

Jerzy Huczkowski

SPOTKAŁEM JERZEGO GIEDROYCIA

LISTY 1993-2000

universitas

SPOTKAŁEM JERZEGO GIEDROYCIA


biblioteka
KUŹNICY

Jerzy Huczkowski

SPOTKAŁEM JERZEGO GIEDROYCIA

LISTY 1993-2000

Kraków

© Copyright by Jerzy Huczkowski and Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2011

ISBN 97883–242–1521–8
TAiWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne
Wanda Lohman

Projekt okładki i stron tytułowych
Ewa Gray

Na okładce
Kinga Polit, *Skarabeusz*, 1997

www.universitas.com.pl

Spis treści

Od redakcji 7

Jerzy Huczkowski, *Spotkałem Jerzego Giedroycia* 9

Jerzy Giedroyc i Jerzy Huczkowski, *Listy* 25

Jerzy Huczkowski o sobie 148

Aneks

1. Jerzy Huczkowski, *Studencki Komitet Rewolucyjny w Krakowie i jego losy* 157
2. Jerzy Huczkowski, *Historia i skutki pewnej politycznej doktryny* . 166
3. *Apel Stowarzyszenia „Kuźnica", 7 maja 1994* 176
4. *Stanowisko Stowarzyszenia „Kuźnica" w sprawie wyborów samorządowych 1994* 177
5. Jerzy Turowicz, *W sprawie „doktryny odtrącenia"* 179
6. Jerzy Huczkowski, *Doktryny odtrącenie ciąg dalszy*: *Odpowiedź Jerzemu Turowiczowi*. 185
7. Jerzy Huczkowski, *Moje spotkanie z Jerzym Giedroyciem* 193
8. Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie, *podziękowanie* 195
9. Jerzy Huczkowski, *„Zwalisty". Moje spotkania z Jerzym Grotowskim „z tamtych lat"* 196
10. Jerzy Huczkowski, *Moje kolejne spotkanie z Jerzym Giedroyciem* 200

Indeks osób 205

Od redakcji

„Kuźnicę" jako klub twórców i animatorów kultury i nauki zakładali ludzie z pokolenia przedwojennej lewicującej młodzieży, zaangażowani potem w okupacyjny ruch oporu i powojenny entuzjazm odbudowy oraz z pokolenia młodych i starszych uczestników Października '56. Paryska „Kultura" była ich stałą lekturą, a koncepcje polityczne Jerzego Giedroycia i Juliusza Mieroszewskiego często obecne (świadomie lub podświadomie) w kuźniczańskich dyskusjach. Dlatego stało się rzeczą naturalną, że po wielkiej zmianie systemowej, z którą znaczna część Kuźniczan wiązała ogromne nadzieje, Jerzy Giedroyc, postać otoczona tak szczególnym zainteresowaniem i szacunkiem, stał się kandydatem do nagrody Kowadła przyznawanej tym, których „Kuźnica" chciała oficjalnie i jednoznacznie wyróżnić. Decyzja dojrzewała w wielu dyskusjach: „Kuźnica" nie lubi bowiem manifestować zachowań stadnych, a w dodatku kandydat na laureata ogłosił, że nie przyjmuje krajowych nagród i wyróżnień. Ostatecznie pod koniec 1992 roku zapadła jednogłośna uchwała „Kuźnicy" o przyznaniu Jerzemu Giedroyciowi Kowadła.

Jak można się było spodziewać, laureat odmówił przyjęcia nagrody, ale w liście do „Kuźnicy" wyraził swoją sympatię dla nas. To właśnie stało się przesłaniem, aby jadący w tym czasie do Francji działacz „Kuźnicy", znany z zaangażowania w przemiany Października '56 (uczestnik Studenckiego Komitetu Rewolucyjnego w Krakowie) i w rozwój polskiej atomistyki (współbudowniczy pierwszego polskiego cyklotronu), a także mocno związany ze środowiskiem twórców kultury i sztuki, dr Jerzy Huczkowski, pojawił się jako przedstawiciel „Kuźnicy" u Jerzego Giedroycia w Maisons-Laffitte.

Ten pierwszy kontakt pomiędzy nimi dał początek stałej wymianie korespondencji, idei i opinii na tematy życia publicznego, jak również realizacji przez Jerzego Huczkowskiego projektów, którym Jerzy Giedroyc zgodził się patronować.

Ich korespondencja przedstawiona w całości w tym tomie „Biblioteki Kuźnicy" jest jeszcze jednym świadectwem zaangażowania Jerzego Giedroycia w sprawy polskie i polską obecność w Europie. Stanowi

skromne uzupełnienie wielu już opublikowanych i przygotowywanych do publikacji tomów korespondencji tego myśliciela i działacza.

Listy drukujemy w postaci integralnej z drobnymi poprawkami pisowni i interpunkcji.

kwiecień 2011 r. Instytut Badań Społecznych „Kuźnicy”

Jerzy Huczkowski

Spotkałem Jerzego Giedroycia

W 1992 roku byłem członkiem prezydium Rady „Kuźnicy", której przewodniczył w tym czasie prof. Hieronim Kubiak. Wystąpiliśmy jesienią 1992 roku z projektem, aby Nagrodę Honorową „Kuźnicy" – „Kowadło" przyznać Jerzemu Giedroyciowi, co Rada w pełni aprobowała. Wiedzieliśmy co prawda, że Jerzy Giedroyc żadnych wyróżnień krajowych nie przyjmuje – ale to przecież nie znaczyło, że nie mamy prawa wyrazić naszego wielkiego uznania, przyznając mu tę nagrodę.

Na list prof. Kubiaka przyszła odpowiedź Jerzego Giedroycia, w której potwierdził znane swoje stanowisko, ale jednocześnie wyraził sympatię dla krakowskiego klubu. To był dobry początek i następny prezes „Kuźnicy" (na przełomie roku 1992/93 następowała zmiana przewodnictwa), poseł Andrzej Urbańczyk, mógł poprosić redaktora Giedroycia, aby zechciał przyjąć w Maisons-Laffitte wybierającego się właśnie do Paryża przedstawiciela „Kuźnicy" – czyli mnie.

Giedroyc zaakceptował wizytę i 14 kwietnia 1993 roku pojawiłem się przed znanym wszystkim czytelnikom „Kultury", położonym w ogrodzie, domem pod numerem 91 przy Avenue de Poissy. Odwiedzający po raz pierwszy „Kulturę" zawsze piszą, jak wielkie wrażenie robiła na nich uprzejmość i nienaganne maniery gospodarza, przedwojennego dyplomaty, którym pozostał wierny. Byłem po prostu zauroczony tym eleganckim starszym panem i życzliwością, z jaką mnie przyjął. A także tym, że uznał mnie za kogoś, z kim warto wymienić poglądy na temat aktualnej sytuacji w kraju. Odbyliśmy długie spotkanie, w czasie którego, jak mi się wydaje – przypadliśmy sobie do gustu.

Swojej rozmowy z redaktorem „Kultury" nie zacząłem od sytuacji w Polsce, lecz od wcześniejszej historii. Z „Kulturą" bowiem zetknąłem się po raz pierwszy, a jeśli nawet nie po raz pierwszy – bo wcześniej o niej dużo słyszałem – to w sposób dla mnie najważniejszy, który wręcz zaciążył na całym moim przyszłym życiu, w październiku 1956 roku. Czyli 37 lat wcześniej. Należałem wtedy do ścisłego kierownictwa Rewkomu, czyli Komitetu Rewolucyjnego Studentów Krakowa,

a trafiające do nas egzemplarze „Kultury" (m.in. – jak się później dowiedziałem – dzięki Hannie Rewskiej[1], legendarnej uczestniczce zorganizowanego przez AK zamachu na gen. Kutscherę w okupowanej Warszawie) traktowaliśmy jak Biblię. Redaktor naczelny „Kultury" był dla nas już wówczas wielkim autorytetem, a dla mnie pozostał takim na zawsze. Podobnie jak na zawsze stała się dla mnie interesująca paryska „Kultura" i linia, którą Jerzy Giedroyc nadawał pismu w zasadniczych dla polityki polskiej sprawach. Śledziłem tę linię i na ogół zgadzałem się z nią, jeśli chodzi o cele, choć nie zawsze podzielałem jego opinię w sprawach dotyczących taktyki[2].

Pozwala mi to dziś stwierdzić, że i ja wychowywałem się w szkole politycznego myślenia „Kultury". Przyczynił się do tego również pewien łączący mnie z „Kulturą" projekt Hanny Rewskiej. Ale o nim znajdzie czytelnik bliższe informacje w moim pierwszym liście do Jerzego Giedroycia, z 30 maja 1993 roku.

Pomiędzy rokiem 1957, w którym zgodnie ze wspomnianym projektem miałem znaleźć się w Maisons-Laffitte, a rokiem 1993, w którym znalazłem się tam rzeczywiście – upłynęło blisko 36 lat. W ciągu pierwszych dziesięciu lat tego okresu nie miałem żadnego kontaktu z „Kulturą", gdyż po aresztowaniu Hanny Rewskiej przerwany został nasz dostęp do tego pisma. Od kiedy natomiast z początkiem lat 60. zacząłem jeździć za granicę – ten dostęp ponownie uzyskałem. Pierwszy wyjazd wiązał się z wizytą u mojego wujka, podpułkownika Tadeusza Wallicha – żołnierza Pierwszej Brygady Legionów, spowinowaconego przez swoją żonę, Wandę, ze słynnym generałem Orliczem-Dreszerem. Wujek przebywał w Paryżu, gdzie znalazł się na emigracji po wyzwoleniu z niewoli niemieckiej, do której dostał się w 1939 roku. Całą wojnę przesiedział jako jeniec w oflagu w Woldenbergu. Ponieważ, podobnie jak Giedroyc, był piłsudczykiem, więc „Kultura" zawsze była obecna w jego domu.

Nie odważyłem się jednak wtedy odwiedzić redakcji „Kultury". Dlaczego? Mimo że formalne zaproszenie z Paryża nie przyszło od wujka, lecz od innej osoby, podejrzewałem, że ci, którzy wydawa-

---

[1] Hanna Rewska – Anna Szarzyńska-Rewska, ps. Hanka (1927–1970) była podczas zamachu na Kutscherę odpowiedzialna za sygnalizację. Uczestniczyła w Powstaniu Warszawskim. Należała do Klubu Krzywego Koła. W 1959 r. skazana na 1,5 roku więzienia za kontakty z paryską *Kulturą*.

[2] Byłem na przykład, w przeciwieństwie do Jerzego Giedroycia, od początku zwolennikiem zawartego przy Okrągłym Stole porozumienia.

li mi paszport, musieli znać moje pokrewieństwo z Tadeuszem Wallichem. A ten pracował przed wojną w Ministerstwie Spraw Wojskowych i w momencie wybuchu wojny był szefem sztabu KOP (Korpusu Ochrony Pogranicza) – szczególnie aktywnego na wschodnich rubieżach Polski. Gdybym przebywając u niego odwiedził „Kulturę", która w tym okresie znajdowała się, jak można się było domyślać, pod ścisłym nadzorem działających w Paryżu agentów polskich władz – mogłoby to po moim powrocie do kraju zaowocować przesłuchaniami, do których po październikowych doświadczeniach nie tęskniłem. Smakowitym dodatkiem do takich skojarzeń był fakt, że wujek zakwaterował mnie w swojej rzemieślniczej pracowni, gdzie wytwarzano swetry. Ale na jej drzwiach o produkcji swetrów wcale nie było mowy, natomiast znajdowały się dwie tabliczki. Pierwsza z nich obwieszczała, że w pomieszczeniu tym mieści się PPS (Polska Partia Socjalistyczna), której wujek był paryskim członkiem, a na drugiej figurował napis, już bez skrótu: „Liga Walki z Bolszewizmem"!

„Kultury" nie odwiedziłem więc ani wtedy, ani później. Zadowalałem się jedynie lekturą jej wydań zarówno w czasie kolejnych pobytów w Paryżu, jak i później w Monachium (gdzie „Kulturę" znalazłem w bibliotece uniwersyteckiej), a także w Londynie i w USA. W czasie swoich pobytów amerykańskich mieszkałem u naszego kuzyna Tadeusza Kozioła, też piłsudczyka – a więc i prenumeratora „Kultury".

Po 1989 roku, gdy zmienił się w Polsce ustrój, mogłem oczywiście udać się do Paryża i odwiedzić Maisons-Laffitte, ale wstyd mi było zjawić się tam tak bez powodu i w dodatku dopiero wtedy. Przyznanie przez „Kuźnicę" Nagrody Honorowej „Kowadła" dla Jerzego Giedroycia stało się więc doskonałym pretekstem, żebym wreszcie mógł poznać osobiście redaktora „Kultury".

Nie przypuszczałem, że moja wizyta i zawarcie bezpośredniej znajomości z Jerzym Giedroyciem spowoduje moje nowe wejście do świata polityki, a także zaowocuje podjęciem kilkuletniej korespondencji oraz współdziałania na różnych polach z redaktorem „Kultury".

Wstępem do tej współpracy było zaproszenie Giedroycia, abym zaprezentował na łamach „Kultury" w formie artykułu przedstawioną mu w liście moją analizę sytuacji politycznej w kraju, po wygranych przez lewicę wrześniowych wyborach roku 1993. Artykuł mój „Historia i skutki pewnej politycznej doktryny" ukazał się w kwietniowym wydaniu „Kultury" w 1994 roku. Wywołał dyskusje i krytyczne opinie bliskich współpracowników redaktora: Jerzego Turowicza i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Na łamach „Kultury" została wydrukowana

wyważona (tak napisał o niej Giedroyc), obszerna polemika z moim artykułem, którą przesłał do Paryża Jerzy Turowicz. Tekst ten sprawił mi dużą satysfakcję, wynikającą z przeświadczenia, że „nasi polemiści świadczą o nas": osoba o tak wielkim autorytecie uznała, że mój drugi[3] artykuł polityczny jest wart polemiki.

Nie znalazła się natomiast w „Kulturze" bardzo negatywna (jak napisał Jerzy Giedroyc) opinia Herlinga-Grudzińskiego. Wątpię zresztą, czy Herling-Grudziński w ogóle zamierzał ze mną polemizować na piśmie. Mógł po prostu wyrazić w rozmowie z Giedroyciem swoje oburzenie, że taki artykuł został w ogóle w „Kulturze" wydrukowany.

Herling-Grudziński rozpoczynał z początkiem maja 1994 roku swoją tryumfalną, drugą już, wizytę w Polsce, którą opisał w *Dzienniku pisanym nocą* wydrukowanym w „Kulturze" wrześniowej. Jeszcze w ramach przygotowań do podróży (miał już zapewne w rękach kwietniowy numer „Kultury") dotarła do niego „Rzeczpospolita", a w niej rozmowa z Leszkiem Kołakowskim. Kołakowski przedstawił w niej refleksje dotyczące sytuacji politycznej w Polsce po wyborach. Pierwszy akapit dziennika pisanego jeszcze w Neapolu, Herling-Grudziński w całości poświęcił swojej, zupełnie odmiennej opinii o sytuacji w kraju – bardzo ostro krytykując poglądy wyrażone w tej sprawie przez Leszka Kołakowskiego.

W tym samym wydaniu „Kultury" Jerzy Giedroyc zaczął swoją, wprowadzoną niedawno rubrykę „Notatki redaktora" od stwierdzenia, że całkowicie nie zgadza się z oceną Herlinga-Grudzińskiego. „Kropkę nad i" w narastającym od miesięcy konflikcie obu wielkich Polaków stanowi przesłany z początkiem 1996 roku do „Kultury" przez Herlinga-Grudzińskiego odcinek *Dziennika pisanego nocą*, zawierający jego „prywatny dekalog głupstw i grzechów w polityce polskiej po 1989 roku". Głównym obiektem ataku pisarza w części *Dziennika* zatytułowanej „Dekalog" był tym razem Adam Michnik. Z krytyką spotkał się też pierwszy premier wolnej Polski – Tadeusz Mazowiecki. Giedroyc uzależnił druk dziennika od wycofania kontrowersyjne-

---

[3] Pierwszy został opublikowany w „Życiu Literackim" w 1956 r., nosił tytuł „Zabawa w niewiadome, czy rewolucji ciąg dalszy" i był odpowiedzią na artykuł redaktora naczelnego „Życia Literackiego" Władysława Machejka pt. „Komitety Rewolucyjne, czyli zabawa w niewiadome". Ukazał się on niestety w momencie, gdy Gomułka uznał, że ciągu dalszego nie będzie, a tych, którzy go pragną, należy skutecznie przywołać do porządku (rozwiązanie Studenckich Komitetów Rewolucyjnych, Rewolucyjnego Związku Młodzieży i wreszcie zlikwidowanie „Po prostu"). Bliższe omówienie mojego udziału w SKR w *Aneksie 1*.

go „Dekalogu", na co się nie zgodził Herling-Grudziński. *Dziennika* zawierającego „Dekalog" nie przyjął również do druku w „Tygodniku Powszechnym" Jerzy Turowicz. W rezultacie od marca 1996 roku *Dziennik pisany nocą* zaczął pojawiać się na łamach „Rzeczpospolitej", w dodatku „Plus Minus". A w pierwszym jego odcinku znalazł się kontrowersyjny „Dekalog".

Opisałem tak obszernie całą sytuację po to, aby stwierdzić, że moje „pięć minut w historii" było wynikiem zbiegu okoliczności[4], w który, zupełnie nieświadomy, wpisałem się swoim artykułem. Zdałem sobie z tego sprawę dopiero teraz, po przeczytaniu dużej liczby artykułów, a także książek, dotyczących paryskiej „Kultury" i Jerzego Giedroycia, które w okresie ostatnich kilkunastu lat się w Polsce pojawiły. Włącznie z najnowszym, ale być może najobszerniejszym, opracowaniem. Mam na myśli książkę Magdaleny Grochowskiej „Jerzy Giedroyc".

Opowiadając Jerzemu Giedroyciowi o moim udziale w Komitecie Rewolucyjnym Studentów Krakowa i polskim Październiku '56 oraz naszych kontaktach z „Kulturą" w tym czasie i wpływie, jakie te wydarzenia wywarły na całe moje dalsze życie, stwierdziłem, że zamierzam opisać je w swojej autobiografii. Jerzy Giedroyc już w pierwszym liście, który otrzymałem od niego po naszym spotkaniu, przypomina mi o tej deklaracji. Od tego czasu sprawa mojego pisania stała się nieodłącznym niemal wątkiem całej naszej korespondencji. Niestety autobiografia przegrywała z bieżącymi działaniami, które na różnych polach podejmowałem. Źródłem i inspiracją do wielu z nich była zresztą właśnie znajomość z redaktorem „Kultury". Autobiografia ciągle więc

---

[4] Powodem zwrócenia uwagi na ten artykuł mogła być nie tylko tytułowa „doktryna odtrącenia", ale także zawarte w nim moje poglądy dotyczące znaczenia polskiego października. Andrzej Walicki w wydanej w 2010 roku książce pt. „Idee i ludzie. Próba autobiografii", w rozdziale „Dygresja o sensie przełomu październikowego" odniósł się tak do mojego artykułu: „…dzisiejszym elitom politycznym trudno jest pojąć, dlaczego system popaździernikowy, równie skuteczny w zagradzaniu im drogi do uczestnictwa we władzy jak system stalinowski, miałby uchodzić za zasadniczo różny od swego poprzednika. Wydaje się jednak, że opinię większości społeczeństwa pamiętającego tamte czasu trafniej wyraża artykuł opublikowany w roku 1994 na łamach paryskiej „Kultury". „Wydarzenia 1956 roku (czytamy w nim) wyprowadziły społeczeństwo polskie z okresu pełnego zniewolenia do systemu, w którym już dało się żyć z odrobiną godności. Różnica pomiędzy Polską początku lat pięćdziesiątych a Polską po roku 1956 jest znacznie większa niż między Polską przed i po 1989 roku" (Jerzy Huczkowski, *Historia i skutki pewnej politycznej doktryny*, „Kultura" 1994, nr 4).

jest w trakcie realizacji. Jedynie wspomnienia poświęcone mojej październikowej przygodzie z polityką (o które szczególnie dopominał się Jerzy Giedroyc) znalazły się już w druku w krótkim tekście mojego wystąpienia zamieszczonym w wydanej przez UNIVERSITAS w 2004 roku książce „Polski Październik 56 roku na Uniwersytecie Jagiellońskim", stanowiącej materiały sympozjum naukowego pod tym samym tytułem. Ponieważ do niektórych zawartych w tym tekście informacji odnoszę się w moich listach, uznałem, że należy go zamieścić w niniejszej książce[5].

Czytając obecnie moją korespondencję z Jerzym Giedroyciem, a także starając się odnaleźć w starych kalendarzach jakieś ślady naszych spotkań, stwierdziłem, że brak przy nich chronologicznego odniesienia do wydarzeń politycznych, które miały w Polsce w tym samym czasie miejsce. Głównie dotyczy to moich wizyt w Maisons-Laffitte w pierwszych latach naszej korespondencji, a więc od wyborów do sejmu w 1993 roku po wybory prezydenckie w 1995 roku. Postanowiłem brak ten uzupełnić poniższym akapitem.

Zacznę od 8 lipca 1989 roku, kiedy to na pierwszej stronie „Gazety Wyborczej" ukazał się artykuł Adama Michnika „Wasz prezydent, nasz premier". Niedługo później, sejm przy poparciu Lecha Wałęsy, powierzył misję utworzenia nowego rządu Tadeuszowi Mazowieckiemu. Ten z kolei, na swojego ministra finansów powołał Leszka Balcerowicza – i proces przemian polityczno-gospodarczych nabrał tempa. 29 stycznia 1990 roku odbył się XI zjazd PZPR, na którym rozwiązano tę partię, a w następnym dniu, podczas Kongresu założycielskiego – powstała Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej. Przewodniczącym Rady Naczelnej SdRP wybrano Aleksandra Kwaśniewskiego. W tym samym roku, po rezygnacji prezydenta Jaruzelskiego, odbyły się przyśpieszone wybory prezydenckie, w których wśród kandydatów znaleźli się Lech Wałęsa i Tadeusz Mazowiecki. Przypuszczano, że między nimi rozegra się zasadnicza walka o fotel prezydenta. Ku powszechnemu zdumieniu do drugiej tury wyborów nie wszedł jednak Tadeusz Mazowiecki, lecz przybyły z Peru właściciel tajemniczej „czarnej teczki" – Stanisław Tymiński. Wygrał w tej sytuacji oczywiście Lech Wałęsa. 27 października 1991r. odbyły się wybory do sejmu, w których mandaty zdobyły aż 24 ugrupowania polityczne. Największą ilość głosów otrzymała Unia Demokratyczna (13,48%), ale zaraz po niej uplasował się Sojusz Lewicy Demokratycznej (13,04%). Rządy w tym rozbitym sejmie zmieniały

[5] Zob. *Aneks 1.*

się jak w kalejdoskopie. Sytuacja taka miała miejsce do 28 maja 1993 roku, kiedy to po przegłosowaniu przez sejm wotum nieufności dla rządu Hanny Suchockiej, wobec niewybrania kolejnego kandydata na premiera – 29 maja Lech Wałęsa rozwiązał sejm i senat.

Właśnie w tym czasie rozpoczęła się moja korespondencja z Jerzym Giedroyciem, od którego pierwszy list (będący odpowiedzią na mój list wysłany po kwietniowej wizycie w Maisons-Laffitte), otrzymałem z datą 25 czerwca 1993 roku. Zachęcał mnie do przekazywania mu moich poglądów dotyczących bieżącej sytuacji politycznej w kraju, w którym właśnie 19 września 1993 roku odbyły się wybory. Wybrano w ich wyniku sześciopartyjny sejm II kadencji, a lewica zdobyła większość.

Spełniając życzenie Jerzego Giedroycia, 2 października przedstawiłem w liście obszerny komentarz dotyczący owych wygranych przez lewicę wyborów. Jak już pisałem, moja analiza spotkała się z jego uznaniem i zaproponował ujęcie jej w formę artykułu, który zamieścił w „Kulturze" w kwietniu 1994 roku.

Lata lewicowych rządów 1993–95, z premierem Pawlakiem i przy prezydencie Wałęsie, obfitowały w konflikty. Sytuacja panująca w kraju wzbudzała zrozumiały niepokój Jerzego Giedroycia. Nasunęło mi to pomysł organizowania w kraju klubów sympatyków „Kultury", których zaistnienie dałoby, być może, Jerzemu Giedroyciowi poczucie jakiegoś realnego wpływu na sprawy polskie. Zaproponowałem to Jerzemu Giedroyciowi w tym samym październikowym liście, w którym znalazła się moja analiza sytuacji powyborczej. Nasze listy i spotkania, bardzo częste w tym czasie, obok omawiania sytuacji politycznej w Polsce, stale koncentrowały się zatem na sprawach związanych z powołaniem tych klubów. Szczególnie w okresie poprzedzającym wybory prezydenckie w listopadzie 1995 roku. Po wyborach, gdy nastąpiła stabilizacja sytuacji politycznej w Polsce, zmniejszyła się częstotliwość naszych kontaktów.

Wznowione one zostały w związku z życzeniami urodzinowymi, które przesłałem Jerzemu Giedroyciowi z Drohobycza (skąd pochodzę) w sierpniu 1996 roku. Napisałem przy ich okazji, że spotkałem w Drohobyczu ludzi, którzy mimo że z „Kulturą" się w ogóle nie zetknęli, wyrażają poglądy takie, jakby byli wychowani w szkole myślenia politycznego „Kultury". Jerzy Giedroyc zareagował niemal błyskawicznie na ten list, wyrażając zainteresowanie zawartą w nim obserwacją. Zrodziło to nowy nurt naszej korespondencji, poświęconej od tego momentu głównie sprawom wschodnim. Nawiązałem bowiem w Drohobyczu i Truskawcu kontakty z Polakami skupionymi w tamtejszych

oddziałach Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej (truskawieckiemu przewodził Eugeniusz Dąbrowski[6]). Postanowiłem im pomagać przy realizacji kilku projektów, mających, jak mi się wydawało, znaczenie dla polepszenia relacji polsko-ukraińskich. Jerzy Giedroyc nie tylko wyraził duże zainteresowanie tą działalnością, ale wręcz się w nią zaangażował. Wątek ukraiński dominował w naszej korespondencji przez parę lat.

Dopiero w roku 1999 równolegle z wątkiem ukraińskim pojawiła się w niej sprawa nasilających się od pewnego czasu w Polsce kradzieży dzieł sztuki i antyków. Zajmowałem się nią z racji rozpoczęcia w roku 1996 wydawania „Gazety Antykwarycznej". Gazeta ta była ogólnopolskim miesięcznikiem poświęconym sztuce, antykom i kolekcjonerstwu. Od początku byłem jej redaktorem naczelnym. Korzystając z pozycji, jaką zdobyła sobie gazeta w kraju, już w rok po jej powstaniu doprowadziłem do zorganizowania ogólnopolskiej organizacji marszandów sztuki i antyków – Stowarzyszenia Antykwariuszy Polskich (SAP) z siedzibą w Krakowie, której zostałem prezesem. Polską organizację marszandów udało nam się po roku jej istnienia wprowadzić do Confédération Internationale des Négociants en Oeuvres d'Art (CINOA), międzynarodowej unii założonej w Brukseli w 1932 roku, skupiającej podobne organizacje z całego świata. Dzięki temu wszyscy członkowie SAP zostali jednocześnie członkami CINOA, a przeciwdziałanie kradzieżom dzieł sztuki i ich nielegalnemu obrotowi stało się, z racji przynależności do CINOA, jednym z naszych obowiązków statutowych.

Wydarzeniem, które szczególnie zaniepokoiło Giedroycia, stała się spektakularna kradzież inkunabułów z Biblioteki Jagiellońskiej. „Gazeta Antykwaryczna" poświęciła tej sprawie wydanie wakacyjne (lipiec/sierpień 1999). Za namową Giedroycia postanowiłem przygotować specjalne wydanie w języku polskim i angielskim, mające stanowić „list gończy" za utraconymi przez Polskę w wyniku kradzieży i grabieży cennymi zabytkami. Sprawa przygotowania specjalnego wydania tej gazety, które ukazało się w czerwcu 2000 roku i odpowiedniego jego nagłośnienia była przedmiotem naszej korespondencji w tym czasie.

---

[6] Eugeniusz Dąbrowski (1951–2003), przewodniczący TKPZL, był moim pierwszym i najważniejszym przewodnikiem w Drohobyczu i w Truskawcu, który wprowadził mnie w problematykę stosunków polsko-ukraińskich – a nawet, sięgając w przeszłość: polsko-ukraińsko-żydowskich na tych terenach. Należał do niewielu znajdujących się tam Polaków posiadających dyplom wyższej uczelni, a ze względu na żonę Ukrainkę, będącą nauczycielką szkoły muzycznej w Truskawcu, mających bliski kontakt z przedstawicielami tamtejszej inteligencji.

W moim ostatnim liście do Jerzego Giedroycia przekazałem mu wiadomość, że specjalne wydanie „Gazety Antykwarycznej" powstałe z jego inicjatywy – z „Portretem młodzieńca" Rafaela Santi na okładce – jest już gotowe i zyskało szczególny rozgłos. Miałem bowiem możliwość przedstawienia go w głównym ogólnopolskim wydaniu „Wiadomości" w TVP1. A ponieważ w tych samych wiadomościach ukazała się informacja o upadku koalicji AWS-UW, więc nasz przekaz osiągnął nadspodziewanie dużą oglądalność. Jerzy Giedroyc, odpisując mi w czerwcu 2000 roku, podkreślił, jak bardzo ucieszyła go ta wiadomość i życzył mi, bym otrzymał kiedyś telegram o odnalezieniu dzieła Rafaela, tego zdobiącego okładkę gazety.

Był to ostatni list Jerzego Giedroycia, jaki otrzymałem. Wydawana w niniejszej książce moja korespondencja z redaktorem „Kultury" – obejmująca ostatnich siedem lat jego życia – pozwala mi sądzić, że byłem jedną z ostatnich osób, z którą Jerzy Giedroyc podjął systematyczną korespondencję oraz osobistą współpracę w kilku interesujących nas obu dziedzinach.

Uważny czytelnik owej korespondencji odnieść może wrażenie, że istnieją w niej jakieś luki. Nawiązujemy bowiem w naszych listach czasem do spraw czy wydarzeń, które nie mają odniesienia w listach drugiej strony. Z czego to może wynikać. Moje listy pisałem zawsze odręcznie, następnie dawałem do przepisywania maszynistce. Zarówno rękopisy, jak i kopie listów, te przed korektą, jak i te po korekcie, przechowywałem, traktując je – w przeciwieństwie do innych swoich tekstów – ze szczególną estymą. Mimo to nie miałem do siebie pełnego zaufania, że nic mi z moich lub jego listów nie zaginęło.

Zaufanie miałem jedynie do Jerzego Giedroycia, będąc pewny, że wszystkie listy, do niego i od niego, są w znakomitym porządku przechowywane. A nabrałem go w czasie jednej z moich wizyt. Nasze rozmowy odbywały się zawsze w jego gabinecie, gdzie obok pełnego papierów biurka znajdował się ciąg półek, również szczelnie zapełniony papierami, znajdującymi się jednak na tych półkach na ogół w teczkach, w określonym porządku. W trakcie którejś z rozmów Jerzy Giedroyc podał mi nazwisko jakiejś osoby i zasugerował, żebym nawiązał z nią znajomość, dodając: „parę lat temu miałem od niego list, znajdę go i dam panu kontakt". Nie chcąc, żeby tracił czas na szukanie starego listu, powiedziałem, że sam spróbuję znaleźć adres, bo wiem, o kogo chodzi. Giedroyc jednak wstał z fotela, stanął naprzeciw swoich półek i jakby nie patrząc nawet na nie, sięgnął ręką w któreś miejsce. Bez szukania wyjął jakąś teczkę, a z niej ów list. Zaimponował mi tym niesłychanie,

ale zrozumiałem, że bez takiej jego umiejętności przechowywania dokumentów „Kultura" nie mogłaby istnieć. Pierwsze wrażenie nieporządku było tylko pozorem, gdyż wszystko znajdowało się na swoim miejscu.

U mnie jednak nieporządek nie jest pozorny i znalezienie w olbrzymiej ilości dokumentów tego, czego w danej chwili potrzebuję – nie jest łatwe. Przystępując więc w 2002 roku do przygotowywania naszej korespondencji do druku, postanowiłem zwrócić się do Zofii Hertz, która po śmierci Jerzego Giedroycia przejęła kierownictwo nad Instytutem Literackim. Chciałem mianowicie poprosić ją o udostępnienie mi wglądu do naszej korespondencji, znajdującej się w archiwum „Kultury". Ponieważ w „Kulturze" od lat pracowała moja dobra znajoma, Renata Głowacka, pomyślałem, że zadzwonię do niej z prośbą o umówienie mi spotkania z Panią Zofią Hertz. Było przyjęte, że do Renaty do domu dzwoni się koło północy, więc tak też uczyniłem. Odebrała telefon, powiedziałem „cześć, mam do ciebie prośbę" i zacząłem tłumaczyć, o co mi chodzi. Ale w którymś momencie mojego wywodu zorientowałem się, że nie rozmawiam z Renatą. A to mogło tylko oznaczać, że pomyliłem numery i zadzwoniłem po północy nie na jej numer domowy, ale do „Kultury". A więc osobą, z którą rozmawiam, może być tylko Pani Hertz. Zacząłem przeprosiny i tłumaczenie się od słów: „Pani ma strasznie młody głos". Na co Zofia Hertz odpowiedziała natychmiast: „bo ja, proszę pana – jestem młoda".

Na spotkanie, na które w wyniku tej rozmowy umówiłem się z panią Hertz, przyjechałem do Maisons-Laffitte, przywożąc na przeprosiny bukiet kwiatów. Pani Zofia przyjęła mnie w oranżerii, poczęstowała jakimś alkoholem, przy którym odbyliśmy sympatyczną rozmowę. W jej trakcie obiecała mi dopomóc w realizacji wydania naszej korespondencji, mówiąc, że otrzymam kopię korespondencji z Redaktorem. I rzeczywiście, po pewnym czasie nadszedł list z dnia 1 lipca 2002 roku, zawierający informację, że odbitki listów w ślad za nim przyjdą pocztą – co też się stało. Okazało się wtedy, że w posiadanym przeze mnie komplecie korespondencji żadnych braków nie było. Pożytkiem z moich wątpliwości w tej sprawie, jest to, że dzięki nim zawarłem interesującą znajomość z Panią Zofią, czyli drugą po Giedroyciu najważniejszą dla „Kultury" osobą.

To, iż listy są w komplecie, nie zmienia faktu, że wrażenie luk w naszej korespondencji wymaga jakiegoś wyjaśnienia. Powody ku temu, jak sądzę, mogą być dwa. Po pierwsze, listy ułożone są chronologicznie według dat, ale chronologia ta nie uwzględnia czasu, jakiego listy wymagały, aby dojść z Paryża do Krakowa i (na ogół znacznie dłuższego)

z Krakowa do Paryża. Listy wobec tego czasem się mijały, to znaczy list będący odpowiedzią na mój był jeszcze w drodze, a ja, jak zwykle niecierpliwy – wysyłałem już następny. Ważniejszą przyczyną takiego wrażenia jest to, że w listach odnosimy się nie tylko do wcześniejszej korespondencji, ale również i do rozmów przeprowadzonych w trakcie naszych spotkań. Sprawę wyjaśniłoby więc przedstawienie relacji z tych rozmów. Jeździłem w tych latach dość często do Paryża i takich spotkań było kilka, lub nawet kilkanaście. Niestety, nie robiłem z nich żadnych notatek i nie mam też wszystkich kalendarzy z tego okresu, gdzie sam fakt moich wizyt w Maisons-Laffitte byłby odnotowany.

Chciałbym mimo to niektóre ze spotkań, które zachowały się w mojej pamięci i mogą być interesujące dla czytelnika, bo mówią coś o Jerzym Giedroyciu – zrekonstruować i tu opisać.

Pamiętam na przykład mój pobyt w Paryżu na otwarciu wystawy Jacka Malczewskiego w Luwrze i bankiet, który odbył się przy tej okazji w polskiej ambasadzie, zorganizowany przez ambasadora Stefana Mellera. Na następny dzień po południu miałem udać się do Maisons-Laffitte, gdzie byłem umówiony z Jerzym Giedroyciem. Na bankiecie rozmawiałem z Karolem Modzelewskim, który powiedział mi, że w porze bliskiej do terminu mojego spotkania też udaje się do Maisons-Laffitte, aby zabrać stamtąd redaktora Giedroycia na inne *rendez-vous* w Paryżu. Pomyślałem więc, że z mojego spotkania „nici", bo Giedroyc nie będzie miał dla mnie czasu. Ale skoro byłem umówiony – zjawiłem się. Jerzy Giedroyc, nie wspominając zupełnie, że ma ograniczony czas, przyjął mnie w swoim gabinecie i zaczęliśmy rozmawiać. Po jakiejś pół godzinie ktoś zapukał i powiedział, że przyjechał już Karol Modzelewski. Giedroyc na to: „ja byłem wcześniej umówiony z Panem i jeszcze nie skończyliśmy naszej rozmowy, proszę więc, aby poczekał". I spokojnie rozmowę ze mną kontynuował. Poczułem się bardzo dowartościowany.

W naszej korespondencji z Jerzym Giedroyciem pojawiała się sprawa proponowanej przeze mnie organizacji klubów sympatyków „Kultury" w Polsce. Tym bardziej dominowała ona w trakcie naszych spotkań. Byłem entuzjastą tego pomysłu – Giedroyc (słusznie, jak się później okazało) odnosił się do perspektyw jego powodzenia z większym sceptycyzmem. Pamiętam jednak takie nasze spotkanie, w trakcie którego przekonałem Jerzego Giedroycia do tej sprawy, co znajduje potwierdzenie w moim następującym po tym spotkaniu liście do niego. Nazywam w nim sprawę klubów już nie moim, ale naszym projektem.

Myślę, że w tej sytuacji znaczną część odpowiedzialności za to, że kluby ostatecznie nie powstały, powinienem przypisać sobie. Miałem stale dużo wątpliwości, czy mogę działać samodzielnie, mimo że Giedroyc mnie do tego zachęcał. Uważałem, że nie jestem wystarczająco znany, aby publicznie zainicjować tę sprawę, że osobą prowadzącą powinien być ktoś dłużej z „Kulturą" związany. Giedroyc od samego początku zarówno w czasie rozmów ze mną, jak i w listach, wyraźnie stwierdzał, że nie widzi takiej osoby w swoim otoczeniu. Natomiast moje wątpliwości uważał za nieuzasadnione. Przeszłość kombatancka, jak mówił, nie ma tu żadnego znaczenia. Ważne jest, czy czuję się na siłach zrealizować ten projekt. Jeśli zaś chodzi o znalezienie odpowiedzi na pytanie, czy uda się doprowadzić do udziału w klubach osoby niegdyś z „Kulturą" związane, to najprościej przeprowadzić z nimi rozmowy sondażowe. Rozmowy, w których będę miał prawo powoływać się na zainteresowanie Jerzego Giedroycia tym projektem. Sugestie Redaktora „Kultury" dotyczące osób, które mogłyby się znaleźć na liście moich rozmówców pojawiały się zarówno w naszej korespondencji, jak i w trakcie spotkań.

Rozmowa, którą przeprowadziłem z jedną z pierwszych postaci na tej liście, Ewą Łętowską, nastawiła mnie bardzo optymistycznie. Stwierdziła ona, że jeśli kluby takie powstaną, chętnie będzie uczestniczyć w organizowanych przez nie spotkaniach. Z zainteresowaniem przyjął też tę ideę Karol Modzelewski. Natomiast Krzysztof Pomian, z którym umówiłem się na spotkanie w Paryżu i przeprowadziłem z nim dłuższą rozmowę, nie wykazał entuzjazmu. Zgadzał się bowiem z poglądem Jerzego Giedroycia, który w swoim liście do mnie z dnia 1 lipca 1994 roku napisał odnośnie do potencjalnego udziału w klubach byłych współpracowników „Kultury": „niestety nie wszyscy autorzy, których drukowałem, nadają się do współpracy ze mną". Z długiej listy nazwisk, które mu wymieniłem, stwierdził, że na pewno łączy go bliska współpraca z Ungerem, Wolickim, Torańską, Pomianem, Smeczem oraz z Pelikanem-Florczakiem. Okazało się, że nie jest łatwą sprawą zorganizowanie przeze mnie spotkania z tymi osobami w krótkim czasie. W rezultacie projekt klubów „Kultury" ciągle nie mógł wejść w fazę konkretnej realizacji. Tym bardziej żal, że w okresie wyborów prezydenckich w 1995 roku mogłyby one, jak się wydaje, odegrać jakąś rolę.

Przypomina mi się jeszcze jedno spotkanie z Jerzym Giedroyciem w tym czasie, w nietypowych okolicznościach. Byłem akurat w Paryżu i zapytałem telefonicznie, kiedy możemy się spotkać. Na co on odpo-